

Niszczanie krajobrazu powinno być karalne.

Rozmowa ze Stanisławem Krycińskim

Powoli odchodzi w przeszłość widok turysty wędrującego przez góry z plecakiem. Coraz częściej można natomiast spotkać nowy typ turysty, który preferuje różnego rodzaju rozrywki, sporty ekstremalne, wysoki standard wypoczynku w pensjonatach. Czy to znak naszych czasów, że tak się dzieje?

Stanisław Kryciński: Na pewno to znak tych czasów. Ale myślę, że przez czasy PRL-owskie mamy trochę zaburzony obraz turystyki. Już przed wojną turyści korzystali z różnych udogodnień. Nawet w Polsce, Mieczysław Orłowicz, kiedy prowadził wycieczki po Czarnohorze, wynajmował do tego konie huculskie, które nosiły za ludzi bagaże. Więc jakieś udogodnienia były nawet i wtedy, i tak działo się przez cały czas. Ale po II wojnie byliśmy oddzieleni od świata zachodniego.



Stanisław Kryciński na cmentarzu w Kotowie. Moje wędrówki po Pogórzu Przemyskim często wywołują zadumę nad tragicznymi i pogmatwanymi losami tej ziemi. Najbardziej sprzyjają jej cmentarze z chylącymi się ku ziemi krzyżami pamiętającymi czasy bratobójczych walk. Fot. Bohdan Huk

U nas chodzenie z plecakiem było dominującą formą turystyki. Ja też korzystałem z tego rodzaju turystyki podczas studiów (druga połowa lat 70.). Organizowano wtedy mnóstwo studenckich rajdów i obozów wędrownych – nie tylko w górach, ale w całej Polsce. Mieszkając w Warszawie, wielokrotnie wyjeżdżałem na 2-3 dniowe rajdy studenckie na Mazowszu. Głównym sposobem wędrowania było chodzenie z plecakiem, nie było żadnych schronisk, agroturystyki. Alternatywą dla noclegu pod namiotem był nocleg w stodole. Jeśli chodzi o Bieszczady, to niewielkie schroniska były jedynie w Ustrzykach Górnych, Wetlinie i Cisnej. Ale nie miały one możliwości przyjęcia wszystkich turystów. Chodzenie z plecakiem było po prostu koniecznością. Potem pojawiły się bazy studenckie, lecz turystyka plecakowa, z nieodłącznym śpiworem i namiotem, pozostała aktualna. Obecnie też jest grupa ludzi, która chodzi z plecakami, ponieważ uważają, że to pewna forma uniezależnienia się od bazy noclegowej, co daje swego rodzaju wolność. I to mocno nawiązuje do idei mówiącej, że góry dają wolność – mi też zawsze tak się kojarzyły – mogę pójść z plecakiem w każdą stronę, w którą zechcę.

Dziś mamy dużą bazę noclegową, nawet sporo tanich miejsc – i z tego głównie się korzysta, ja również. Jest to, owszem, odejście od formy turystyki znanej mi z młodości (mam dziś ponad 50 lat), ale jednocześnie jest to powrót do normalności, która istniała w świecie zachodnim, kapitalistycznym i przyszła do nas wraz z kapitalizmem.

Przemierzył pan Karpaty z plecakiem. Czy zmieniły się one w ciągu tych lat?

Zwiedziłem Beskid Niski, polskie Bieszczady, Pogórze Przemyskie. Chadzałem też na Roztocze Wschodnie. Tereny te wyglądały podobnie, ziemie wysiedlone, resztki cerkwi, cmentarzy. Jak ten kawałek Karpat się zmienił? Na przykład ubyło bardzo dużo drewnianych domów, co jest naturalne – budownictwo tradycyjne jest zastępowane budynkami murowanymi. Jesienią 2005 r. odwiedziłem wiele wsi w północnej części Pogórza Przemyskiego. W porównaniu do stanu sprzed 20 lat, bo wtedy robiłem obszerną inwentaryzację w pięciu gminach tego regionu, zauważyłem, że tradycyjne budownictwo wiejskie niemal przestało istnieć. Domów pod strzechą nie ma, te domy drewniane,

które jeszcze istnieją, stawiane były na kilka lat przed II wojną lub zaraz po niej. Zwykle są bardzo zmienione – dachy pokryte blachodachówką, ściany sidingiem, czy też oszalowane w jakiś inny sposób. Widać ogromne różnice na podstawie zdjęć, których dużo robię podczas wędrówek.

Trochę poprawiły się drogi, przybyło bazy noclegowej. Kiedyś na Pogórzu Przemyskim były zaledwie dwa, trzy schroniska młodzieżowe, działające latem, a o tzw. agroturystyce nie było nawet mowy. Takie są zmiany cywilizacyjne...

Turystyka masowa mocno ingeruje w przyrodę polskich Karpat, niszcząc także walory kultury materialnej. W jaki sposób możemy coś jeszcze zachować?

Chyba nie znam odpowiedzi na to pytanie... Generalnie jest takie nieszczęście, że ludzie, którzy decydują o tym, jak ma być zagospodarowany teren, np. lokalne władze, nie doceniają tego, jakie wartości ma piękny krajobraz, cisza, świeże powietrze, możliwość popatrzenia na dolinę rzeki, na budownictwo harmonijnie zgrane z krajobrazem. Oni tego nie widzą i nie rozumieją. Nie wiem, w jaki sposób zadziałać? Mam taki pomysł, aby powołać centralną organizację na poziomie ministerstwa, która powinna zajmować się przekazywaniem lokalnej władzy wiedzy o tym, jaką wartość mają walory krajobrazowe połączone z tradycyjnymi elementami kultury materialnej. Tu trzeba działać jak kiedyś na Podhalu. Przyjeżdżali tam wykształceni ludzie z miast i zachwycali się budownictwem, mową, zwyczajami, strojami, co spowodowało, że górale podhalańscy w końcu uwierzyli w swoją wartość. Dziś kultura podhalańska jest bardzo ekspansywna w stosunku do sąsiednich Orawian czy Spiszaków, ponieważ obie te grupy nie miały tyle szczęścia i ich kultura, równie cenna, nie została odpowiednio, jak to się dziś mówi, wypromowana.

Musi to zatem przyjść z zewnątrz, np. przez pokazywanie przykładów z Europy. W Estonii są takie wsie skansenowskie (np. wsi estońskiej z XVIII wieku), gdzie żyją ludzie, część domów funkcjonuje jako ekspozycja – można pochodzić po niej – która żyje, zarabia przez sprzedaż biletów i prezentację tradycyjnego rękodzieła. I to działa, jest tam kawiarenka, możliwość przenocowania, skosztowania tradycyjnych potraw. To przyszło z mądrości lokalnej. Spotkałem takiego mądrego człowieka na Roztoczu, we wsi Guciów w dolinie Wieprza – sołtysa Stanisława Jachymka. Uważa on, że piękno krajobrazu również może być na sprzedaż, ale bez niszczenia. Niszczenie krajobrazu powinno być karalne na równi z sabotażem, tak jak za podłożenie materiału wybuchowego pod jakiś zakład przemysłowy, za co grozi przecież proces. Niestety u nas wciąż jest tak, że gdy miejscowy urzędnik pozwoli zbudować jakieś szkaradztwo, niszcząc przy tym przepiękny krajobraz, to kary za to nie poniesie. Jeśli takie myślenie się nie zmieni, będzie jeszcze gorzej...

Dziś w Bieszczadach, po okresie historycznej zawieruchy wojennej i wysiedleniach, rządzi przyroda. Wydaje się też, że to właśnie ona jest największym bogactwem gmin i mieszkańców regionu. Niestety, część ludzi upatruje szans na rozwój tego terenu w zagospodarowaniu go poprzez infrastrukturę turystyki masowej. Dlaczego tak się dzieje i jak przekonać ludzi, żeby zachowali cenną przyrodę dla przyszłych pokoleń?

Ludzie na wsi – w swej masie – absolutnie nie widzą piękna krajobrazu, ani nie uważają, że należy je zachować. To takie dziwne, że mieszkańcy wsi od zawsze uważali się za gorszych od tych z miasta, i zapatrują się na mieszczuchów, co zawsze było widać w strojach, zwyczajach, budownictwie. Trzeba byłoby zmienić pewne rzeczy w odgórny sposób, przez mądrych ludzi czy media. Zamiast puszczać kolejny serial filmowy, to w czasie największej oglądalności puścić program o tym, co jest w terenie, że jest cenne i warte zachowania. W przeciwnym razie nie wiem, ile czasu musi minąć, aby ci ludzie mogli sami do tego dojść.

Rzeczywiście Bieszczady w skali Europy są ewenementem. Przeżyły wysiedlenia, które dla ludności były wielką tragedią. Z czasem jednak te wysiedlenia stały się, paradoksalnie, przyczyną zwiększenia *Niszczenie krajobrazu powinno być karalne. Rozmowa ze Stanisławem Krycińskim*

atrakcyjności tego terenu. Przed wojną Bieszczady były przeludnione, a dziś mieszka tu dziesięć razy mniej ludzi niż przed wysiedleniami.

Zachować cenną przyrodę można byłoby poprzez mądre jej użytkowanie, np. turystykę wykwalifikowaną, czyli umożliwiającą chodzenie z plecakiem, namiotem. Ale ilość takich ludzi również należałoby dozować. Miłośnicy przyrody z całej Europy mogą tu podziwiać dziko żyjące zwierzęta, znane im tylko z książek lub ogrodów zoologicznych. Ci ludzie, którzy mieszkają w Bieszczadach, nie muszą obsługiwać ogromnych mas ludzkich, aby żyć dobrze. Mogą obsługiwać grupy dużo mniejsze, ale za to wymagające znacznie większej uwagi. Bo prócz noclegów i wyżywienia, grupy takie potrzebowałyby przewodników umożliwiających im dotarcie do miejsc, gdzie mogą zobaczyć rzadkie gatunki roślin czy ukrycia obserwować dzikie zwierzęta. Tylko ktoś musi to zorganizować, pewnie na szczeblu państwowym. Dziś, 60 lat od wysiedleń, Bieszczady porośnięte wtórnie dzikim lasem, są wielką wartością, docenianą w całej Europie. Niestety najmniej cenią je miejscowi decydenci.

Interesuje Pana kultura Karpat - skąd wybór akurat tego obszaru?

Moja rodzina ze strony ojca pochodzi z Kresów, z Galicji Wschodniej. Z opowiadań babci z Tarnopola, zapamiętałem, że trzy główne nacje tych terenów - Ukraińcy, Żydzi i Polacy - żyli w zgodzie. Babcia chodziła z Rusinkami do szkoły, umiała mówić po ukraińsku, trochę znała jidysz. To było naturalne, że ludzie różnych kultur czy religii żyją razem na jednym terenie i nie robią sobie krzywdy.

Będąc chłopcem (w latach 60.) zostałem wysłany na kolonie do Dobrej Szlacheckiej - między Dynowem a Sanokiem. Tam zetknąłem się z niesamowitym zjawiskiem. Trafiłem do wsi, gdzie przed wojną było ponad 400 rodzin, w większości ukraińskich. Gdy przyjechałem, było zaledwie około 40, widać było puste domy, zdziczałe sady, wśród ludzi obecna była psychoza strachu - Polacy bali się ukraińskiej mniejszości i wzajemnie. W nocy się barykadowali, kładli siekiery pod poduszki - to było przerażające. Miejscowe dzieci, z którymi się bawiliśmy, opowiadały nam o tym. Było to zupełnym przeciwieństwem opowieści zasłyszanych od babci. Zastanawiałem się, jak to możliwe.

I gdy na studiach zacząłem uprawiać turystykę, to w ramach działalności wydziałowego klubu turystycznego pojechałem we wrześniu 1974 r. na obóz wędrowny w Bieszczady. Wiedziałem, że będzie to w pewnym sensie podróż do tych klimatów z Dobrej. I Bieszczady tak mnie przyjęły - widać było pozostałości po wsiach, zrujnowane cerkwie, cmentarze, zniszczone domy. Chciałem znaleźć informacje w literaturze na ten temat, ale czasy PRL-u skażone były mocno propagandą. Jednak brak dostępu do obiektywnej literatury tylko wzmagał moją ciekawość. Miejscem, gdzie można było się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy o historii Bieszczadów, było Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich. Poszedłem tam na kurs i w 1977 r. zdałem egzamin na przewodnika beskidzkiego. W kole, dzięki kontaktom z kolegami, którzy po Bieszczadach i Beskidzie Niskim chodzili od lat, można było zdobyć wiedzę nieosiągalną gdzie indziej. Szczególnie interesująca była tematyka dotycząca wysiedleń czy Ukraińskiej Powstańczej Armii. Drażyłem długo temat, aż tak się złożyło, że byłem jedną z osób, które zainicjowały Akcję „Opis” w ramach działalności naszego koła. Pierwsze dwa obozy odbyły się na Łemkowszczyźnie latem 1979 r., a ja swój pierwszy obóz o nazwie „Nadsanie” poprowadziłem na Pogórzu Przemyskim rok później. Chcieliśmy na wysiedlonych terenach zrobić inwentaryzację fotograficzną i rysunkową tego wszystkiego, co jeszcze tam zostało - ostatnich wsi, chałup, cerkwi, cmentarzy, miejsc po dworach, młynach. Staraliśmy się również rozmawiać z ludźmi, którzy tam pozostali, choć nie było to łatwe. Korzystaliśmy ze świetnych przedwojennych map WIG-owskich (Wojskowego Instytutu Geograficznego), na których wszystko było idealnie zaznaczone.

Początkowo prowadziłem obozy inwentaryzacyjne, ale po sześciu latach przekształciły się one w obozy remontowe cmentarzy. Okazało się, że w każdej wsi był mały wiejski cmentarz z kilkunastoma nagrobkami, zwykle mocno zdewastowany. W zniszczeniach widać było wyraźnie ingerencję ludzką,

jakąs złość czy wręcz nienawiść w stosunku do Ukraińców, rozładowywaną na nagrobkach. Te cmentarze zostały jedynym dowodem na kilkusetletnie istnienie bieszczadzskich wsi. Według mnie, jedną z podstawowych wartości i zasad cywilizacji jest szacunek dla zmarłych, co objawia się dbałością o ich groby. Dla mnie niszczenie tych nagrobków było dużym szokiem, czułem wstyd za ludzi, którzy tego dokonali. I chciałem je naprawić. W ciągu kolejnych 12 lat prowadziłem dwutygodniowe obozy, podczas których udało się wyremontować 40 cmentarzy w Bieszczadach i Beskidzie Niskim. W pracach tych, prowadzonych nieodpłatnie, wzięło udział ok. 300 osób z całej Polski.

Zwyczaje ludności karpackiej były mocno wpisane w otoczenie przyrodnicze, w którym przyszło jej żyć. Związki ludności z przyrodą objawiały się zapewne w każdym elemencie ich życia. Gdzie najwyraźniej uwidaczniały się wpływy tego oddziaływania?

Ludzie żyjący na wsi są bardzo związani z naturą, nie ma innej możliwości. Na wsi podlega się rytmom pór roku i dnia. W górach te warunki są jeszcze bardziej surowe i to uzależnienie jest jeszcze silniejsze. Wszędzie to można zauważyć, na całym świecie wśród tradycyjnych społeczności, które muszą się podporządkować przyrodzie, bo inaczej by nie przetrwały. W Karpatach widoczne jest to np. w charakterze budownictwa drewnianego - domy powstały z pni wyciętych w okolicznym lesie, słoma na dachach pochodzi z pobliskich pól, podmurówki z kamieni leżących w potoku. Letnie stroje robiono z lnu i konopi własnoręcznie uprawianych, a zimowe z owczej wełny. Częścią życia było pasterstwo, wypas zaczynał się pod koniec kwietnia i trwał aż do października - stąd zapotrzebowanie na odpowiedni strój. Ludzie żyli dzięki doświadczeniom gromadzonym przez pokolenia. Człowiek na wsi musi z przyrodą współdziałać, bez tej współpracy po prostu nie przeżyje.

Związek z przyrodą widać najwyraźniej na przykładzie gospodarki pasterskiej, wspólnego wypasu bydła. Pasterze bieszczadzcy używali prostych rozwiązań - nie budowali szałasów, jak robiono to na Podhalu czy w Gorcach. Budowali maleńkie schrony, koliby dla dwóch osób, kryte korą świerkową, które na płozach można było przeciągnąć w inne miejsce z pomocą koni czy wołów.

Niektóre cerkwie umiejscowione są, jak choćby ta z Ulucza w powiecie brzozowskim, w samym sercu przyrody. To niezwykle połączenie wytworu budowniczego obiektów sakralnych z pięknem przyrody do dziś oddziałuje na ludzi bardzo mocno. Dlaczego?

Ta cerkiew jest sama z siebie piękna, usytuowana daleko od ludzi, na wzgórzu i działa kojąco na człowieka - można być daleko od innych, z dala od zgiełku świata. Można tam posiedzieć, pomedytować. Ludziom zawsze to się podobało i chcieli tam przebywać. Ale oczywiście to nie działa na wszystkich. Kiedyś rozmawiałem w Bieszczadach z człowiekiem, przyjechałem do jego miejscowości zobaczyć cerkiew. On nie mógł pojąć: „przecież to tylko kupa drewna” - dziwił się - „taki kawał pan jechał?”.

A dlaczego oddziałuje na tych wybranych? Muszą mieć pewną wrażliwość na piękno, na to połączenie wytworów architektury i przyrody, szczególnie gdy obiekt jest położony w cennym przyrodniczo terenie, wtedy się wszystko razem dopełnia.

Co przez lata zmieniło się tych miejscach, która Pan odwiedza jako badacz kultury?

Przede wszystkim zniknęło całkowicie świeckie budownictwo drewniane. Ćwierć wieku temu, gdy dojeżdżałem do Sanoka przez Blizne i Starą Wieś, to prawie cała wieś była pod strzechą, jak dziś w skansenie, wszędzie dokoła były drewniane domy. Teraz przejeżdżając przez te okolice, widzimy pojedyncze, stare, dogorywające domy, zamieszkałe przez starych ludzi, których nie stać na remonty, a tym bardziej na nowy budynek. W miejscu drewnianych chałup pojawiły się setki nowych murowanych domów.

Cerkwie kryto gontem lub blachą, ale były w naturalnym otoczeniu, wkomponowane w krajobraz wraz ze starymi drzewami i barwinkiem kryjącym mogiły na cmentarzu okalającym świątynię. Teraz, co boli mnie szczególnie, trwa jakaś straszliwa akcja wycinania starych drzew przy świątyniach, nie tylko przy cerkwiach, ale w całej Polsce. Nie wiem, o co tu chodzi, ale pewnie o pieniądze. Te znikające lub okaleczone drzewa, pozostawiane same kikuty, zmieniają na niekorzyść otoczenie cerkwi i kościołów. Dawne archaiczne, omszałe murki z łamanego kamienia, zamieniane są dziś na koszarne ażurowe betonowe płyty albo ogrodzenia z siatki. Giną urokliwe bramki z kamienia czy drewna. Cmentarze cerkiewne powszechnie brukuje się betonową kostką. Poza tym często pojawiają się nieudane architektonicznie, szpecące dzwonnice. Również remonty obiektów pozostawiają wiele do życzenia. Oczywiście to dobrze, że się je odnawia, ale czyni się to w dziwny sposób. Ci, którzy wykonują tę pracę, zwykle nie czują kilkusetletniego uroku miejsca. Więc zamiast podkreślić szacowność tego zabytku, jego wiek, zamieniają go w jakąś współczesną ozdóbkę czy błyskotkę. Na tym tle są też chwalebne wyjątki, jak np. działalność remontowa brygady ciesielskiej pana Chronowskiego. Wyremontowane przez niego cerkwie w Kwiatoniu czy Rychwałdzie (Owczarach) są przykładem, jak można zachować „starożytność” odnawianej świątyni. Wielce chwalebna jest również działalność katolickiego księdza Czekaja. Na własną prośbę obejmuje on małe wiejskie parafie, gdzie świątyniami są cerkwie przerobione na kościoły. Dzięki swojej ogromnej wiedzy i pracowitości doprowadza je do dawnej świetności, poddając renowacji zarówno budynki, jak i wyposażenie.

Był Pan zaangażowany w próby utworzenia Turnickiego Parku Narodowego. Dlaczego stał Pan na stanowisku, że teren ten jest wart ochrony?

Jestem z całym Pogórzem związany od ćwierćwiecza, jest mi ono bliskie. A ten las turnicki jest pewnym ewenementem, ponieważ występuje w bardzo starych dokumentach w 1359 r., gdy fragment dorzecza Wiaru z Rybotyczami jako centrum dóbr, został nadany Stefanowi Węgrzynowi. I tam m.in. wymieniany jest Las Turnica jako cenny kompleks leśny, który nie miał podlegać wycinaniu, lecz pozostać w stanie naturalnym. Oczywiście pozyskiwano z niego drewno, ale czyniono to w sposób rozsądny. Był również eksploatowany w inny sposób. W tamtych czasach wypasano w lasach świnie czy bydło na polanach. I ten las od tamtych 600 lat żyje. Nigdzie nie widziałem takich pięknych starych drzew, jodeł czy jaworów. Dla mnie było oczywiste, że taki fantastyczny obszar lasu nie wycinanego od czasów średniowiecza powinien zostać przekształcony w park narodowy. Tutaj, gdzie mieszkam, w Warszawie, mamy Kampinoski Park Narodowy, który na tle lasu Turnica wygląda jak mizerny zagajnik, bowiem od wieków był intensywnie eksploatowany. Drzewostany mają tu po 50-70 lat, a pojedyncze sosny niewiele ponad sto lat. Najstarsze dęby, których jest kilka, nie sięgają nawet 300 lat. I na tym tle Las Turnicki jest jak pierwotna, przepiękna puszcza, malowniczo położona wśród jarów i gór, z kilkusetletnimi okazami drzew. Dla mnie jest oczywiste, że powinien on być parkiem narodowym. Ale tak się nie stało, po raz kolejny głupota zwyciężyła...

Przygotowuje Pan kolejne wydanie przewodnika po Pogórze Przemyskim. Jakie wartości tego obszaru urzekają dziś najbardziej?

W 2005 roku wędrowałem przez dwa tygodnie przez Pogórze Przemyskie. Zastanawiałem się, jak je ludziom przedstawić, bo dla mnie osobiście stosunek do tych stron jest już mocno sentymentalny. Lubię tamtejsze widoki, bez tłoku turystycznego, ładne cerkwie i spokój. Uważam, że jest to bardzo dobry teren do kontemplacji. Ale z drugiej strony nie jest to jednak obszar jakoś niesłychanie atrakcyjny, gdy porównamy go do Tatr czy Bieszczadów. Dla mnie w tej ziemi jest jednak jakaś zagadka, coś mnie do niej ciągnie.

Zajmuję się tym tematem od 30 lat, ale nadal historia tej ziemi, zarówno ta sprzed wieków, jak i ta najbardziej tragiczna, sprzed sześćdziesięciu lat, okryta jest mgłą tajemnicy. Stwierdziłem, że literatura, z której korzystałem 15 lat temu, w dużym stopniu się zdezaktualizowała. Jest to więc

teren dziewiczy pod względem badań naukowych. Muszę więc ten przewodnik napisać od nowa, choć pierwotnie chciałem tylko poprawić pierwsze wydanie. Dotyczy to głównie konfliktu polsko-ukraińskiego, którego echa są tam żywe do dzisiaj, choć minęło 60 lat i zdecydowana większość ludzi już nie żyje. Niemniej jednak kolejne pokolenia pamiętają - te tematy są żywe i zagmatwane, bolesne, trudno je rozwikłać, poukładać. Zdaję sobie sprawę, że to trudne zadanie, by zachęcić czytelników do przyjazdu tam. Takich, co przyjeżdżają na chwilę, jest dużo, lecz tych, którzy pozostaną na dłużej - niewiele.

W jakim kierunku będą Pana zdaniem zmieniać się Karpaty w ciągu następnych dziesięcioleci?

Widzę to raczej w czarnych barwach. Światem rządzi pieniądz i gdy on się u nas pojawił na skrzydłach kapitalizmu, to kolejne podejmowane tu inwestycje będą związane z masową turystyką czy narciarstwem. Jaskółką takich poczynań jest ośrodek w Arłamowie, wykupiony przez prywatnego inwestora i coraz bardziej rozwijany. Pewnie niebawem ktoś zainwestuje w przedsięwzięcie typu „Kolorowy zawrót głowy”, propagowane w końcu lat 80. w Bieszczadach. Tacy ludzie jak ja, podobnie myślący, którzy chcieliby zwyczajnie posiedzieć i pokontemplować piękne widoki w ciszy i spokoju, będą mieli coraz mniej miejsca. Nadzieja jest w tym, że może zmądrzejemy w dość szybkim tempie i docenimy walory Karpat, które są zupełnie bezcenne, i których nie trzeba zmieniać, a jedynie umiejętnie z nich korzystać. Daj Boże, by to poszło w tą stronę, chociaż dzisiaj nie wiem, czy to się uda.

Dziękuję za rozmowę.

Luty 2007 r.

Stanisław Kryciński (ur. 1954). Absolwent Wydziału Chemii Politechniki Warszawskiej. Zafascynowany różnorodnością kresowych kultur i religii. Przewodnik beskidzki i krajoznawca. W latach 1980-1986 prowadził obozy inwentaryzacyjne na terenach wsi Pogórza Przemyskiego i Bieszczadów, podczas których sporządzano opisy cerkwi, chałup, kapliczek, nagrobków. Działał w Społecznej Komisji Opieki nad Zabytkami Sztuki Cerkiewnej. W ramach jej działalności organizował w latach 1987-1998 obozy konserwatorskie, podczas których odnowiono społecznie ponad pięćset nagrobków i figur przydrożnych w 35 miejscowościach Bieszczadów i Beskidu Niskiego. W maju 1988 r. był inicjatorem i uczestnikiem restauracji cmentarza muzułmańskiego w Lebedziewie koło Terespoła. Współtworzył Towarzystwo Karpackie, którego członkiem jest do dziś. Jest autorem przewodnika „Przemyśl i Pogórze Przemyskie”, opracowania „Cerkwie w Bieszczadach”, a przede wszystkim liczących 1000 stron monografii gmin Cisna i Lutowiska, które stanowią dwa pierwsze tomy wydawnictwa „Bieszczady. Słownik historyczno-krajoznawczy”. Autor kilkudziesięciu artykułów krajoznawczych w „Spotkaniach z zabytkami”, „Magurach”, „Połoninach” i „Gościńcu”. Od 1990 r. prowadzi wydawnictwo o profilu krajoznawczym. W jego ramach wydał, prócz ww. monografii gmin, również „Katalog grodzisk i zamczysk w Karpatach” Marszałka, „Od Komańczy do Bartnego” Grzesika i Traczyka, a także reprinty: „Karpaty Wschodnie” Orłowicza, „Na szlakach Łemkowszczyzny” Pieradzkiej, „U źródeł Sanu Stryja i Dniestru” Pulnarowicza czy „Na pograniczu łemkowsko-bojkowskim” Falkowskiego i Pasznyckiego. W ostatnich latach opublikował własnego autorstwa opracowanie o zamku w Krasiczynie i mapy „Zabytkowe cerkwie południowo-wschodniej Polski”, „Twierdza Przemyśl” i „Twierdza Zamość”. Pisze i wydaje również publikacje na temat Mazowsza i Rostocza. W połowie lat 90. był zaangażowany w popularyzację idei utworzenia Turnickiego Parku Narodowego.



Kolumna dofinansowana przez Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach.